Nr 34 Rok 2 Wilno, dnia 24 sierpnia 1941 40 gr.

Jesteśmy zakochani

KURJER POLSKI

POPULARNOŚĆ ZA WSZELKĄ CENĘ

„POPULARNOŚĆ JEST WSZYSTKIM" WIE O TYM KAŻDA GIRLSA W AMERYCE I NIC NIE WYDAJE SIĘ JEJ BARDZIEJ GODNYM POŻĄDANIA OD UPOJENIA SIĘ CHOĆ RAZ W ŻYCIU KRÓTKOTRWAŁĄ POPULARNOŚCIĄ. JOAN LESLIE, SZESNASTOLETNIA ARTYSTKA FILMOWA, DZIĘKI TEJ POMYSŁOWEJ AUTOREKLAMIE, WBIJA SIĘ W PAMIĘĆ RÓWNOCZEŚNIE OSIEM RAZY CZYTELNIKOM JAKIEJŚ AMERYKAŃSKIEJ GAZETY.

Fot. Ass. Press

JAPOŃSKA POŻYCZKA WOJENNA

Na jednej z głównych ulic w Tokio sprzedają kobiety japońską pożyczkę wojenną w banknotach po jednym jenie.

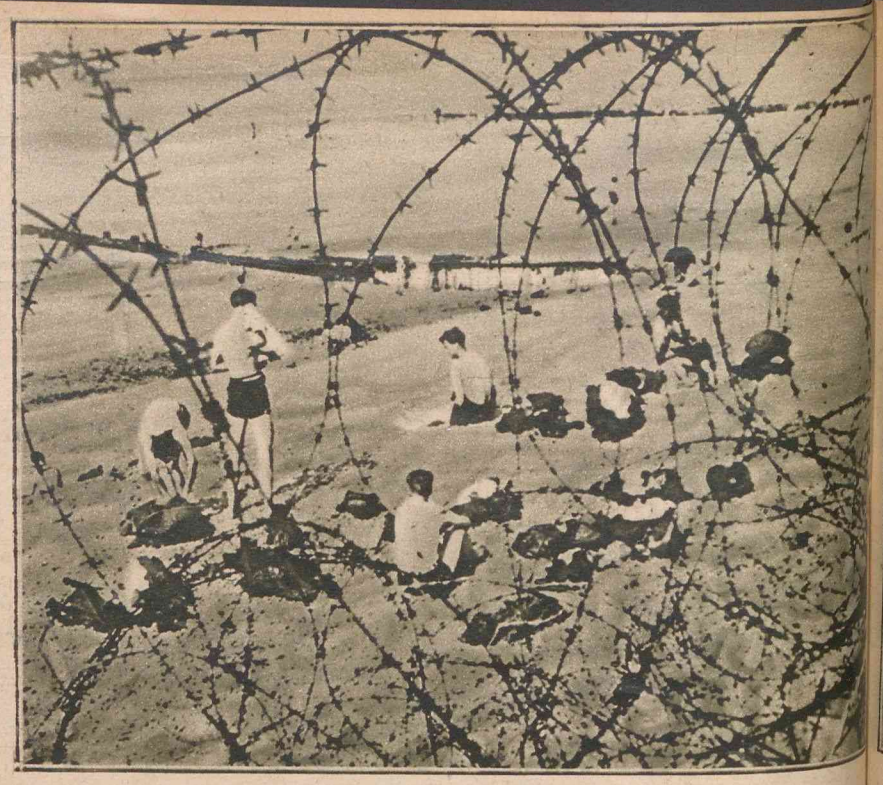

SEZON NAD MORZEM ZA DRUTEM KOLCZASTYM

Oto ilustracja z pewnego angielskiego czasopisma, przedstawiająca jakieś kąpielisko na wybrzeżu Anglii. Dla ochrony przed inwazją niemiecką otoczono wszystkie miejsca kąpielowe drutem kolczastym.

KRÓL RUMUŃSKI I GENERAŁ ANTONESCU W ODZYSKANEJ PUTNIE

Na zdjęciu naszym widzimy króla Michała i generała Antonescu przy grobie Stefana Wielkiego w Putnie. Grób należy do jednej ze świętości narodowych Rumunii.

SOWIECKI KIEROWCA WOZU PANCERNEGO JEŃCEM

Jeden z 1,5 miliona wziętych dotychczas do niewoli niemieckiej żołnierzy bolszewickich. Ten kierowca sowieckiego wozu pancernego zdołał uratować z płonącego wozu, zapalonego przez niemiecki wóz pancerny, jedynie życie.

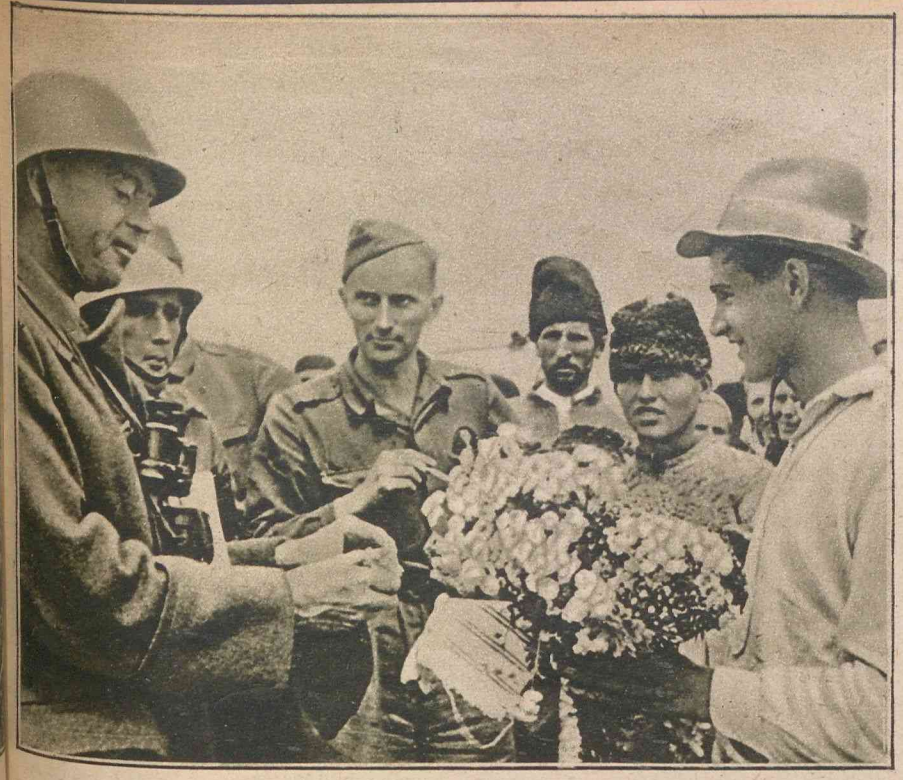

BESSARABIA UWOLNIONA OD JARZMA SOWIECKIEGO

Wieśniacy w jednej z miejscowości Bessarabii pozdrawiają serdecznie żołnierzy rumuńskich, którzy oswobodzili Bessarabię spod jarzma bolszewickiego po ciężkich walkach z bolszewikami.

DZIENNIKARZE ZAGRANICZNI W SMOLEŃSKU

Przedstawiciele zagranicy mogli przekonać się wkrótce po upadku Smoleńska, że miasto znajdowało się w rękach niemieckich. Oto dwaj popi, którzy podczas bolszewickich rządów zarabiali na życie jako murarze i strażnicy nocni, informują zagranicznych przedstawicieli prasy.

BOLSZEWICKIE ODDZIAŁY KOBIECE W NIEWOLI

Te kobiety, które w sukniach kobiecych wyruszyły jako partyzantki, w uniformach zaś jako t. zw. regularne oddziały wojskowe do boju w obronie bolszewizmu, nie mają już wiele wspólnego z mundurami wojskowymi. Teraz, gdy dostały się do niewoli niemieckiej załamał się ich cały podstępny animusz wojenny w gorzkich łzach.

PREZYDENT PORTUGALII NA AZORACH

Prezydent Portugalii Carmona, przedsięwziął podróż inspekcyjną na Azory w celu kontroli tamtejszych urządzeń wojennych i wzmocnienia oddziałów wojskowych. Nasza ilustracja przedstawia prezydenta w rozmowie z głównodowodzącym sił zbrojnych w Horlinie na Azorach.

LEKKIE DZIAŁO PIECHOTY W BITWIE W KOTLE HUMAŃSKIM NA POŁUDNIE OD KIJOWA

W tempie iście piekielnym zjechała piechota z szosy, ustawiła swoje działo w miejscu jak najdogodniejszym i w kilka sekund potem mierzy strzał po strzale w linie bolszewickie. Aby zabezpieczyć błonę bębenkową przed pęknięciem, które może spowodować silny prąd powietrza, zatykają sobie kanonierzy przy wystrzale uszy.

Fot. Ass. Press 8
Scherl 1
Weltbild 1

KREW I ŁZY
wywołał bolszewicki szał niszczycielski wśród cywilnej ludności miast i wsi, które bolszewicy po swej ucieczce, pozostawili w gruzach i zgliszczach, posłuszni rozkazom Tymoszenki, by wszystko niszczyć.

GRUZY W MIŃSKU
Bezradni i opuszczeni siedzą uciekinierzy, powróciwszy do Mińska z powrotem, z resztkami swego mienia w pustych otworach okiennych. Także i Mińsk padł ofiarą szału niszczycielskiego uciekających bolszewików.

NA GRUZACH WITEBSKA.....
Wszędzie ta sama piosenka! Pożary, zniszczenie, mordy i niewypowiedziane cierpienia ludności cywilnej. I tutaj znajdę powracający uciekinierzy jedynie gruzy i zgliszcza na miejscu swych domów. Ze wszystkich kątów wyziera umazane dymem oblicze bolszewizmu.

Fot. Ass. Press (4)
Weltbild (1)

.....I W ZACIEKLE BRONIONYM SMOLEŃSKU
Ocalała jedynie katedra w Smoleńsku, zamieniona przez bolszewików w muzeum bezbożnicze. Już od czterech tygodni znajduje się to miasto w rękach niemieckich, lecz dopiero przed kilku dniami podała angielska służba informacyjna wiadomość o wzięciu miasta, ponieważ dziennikarze zagraniczni, którzy byli w Smoleńsku, ponieśli w świat swoje wzbudzające zainteresowanie reportaże.

Uciekinierzy w domu

WIDZENIE

Miałem widzenie — jakich mało. Ni mniej ni więcej, tylko umarłem. Bezboleśnie i dostojnie na moim kawalerskim łożu. Było mi z początku trochę nieswojo i nawet głupio, ale wnet pogodziłem się z losem. Przypatrywałem się z ciekawością na opłakujące śmierć moją osoby. I cóż się okazało? Oto najwięcej łez wylewali moi wierzyciele z krawcem, szewcem i gospodarzem na czele.

Ale byli i inni płaczkowie. Stali na boku i ronili łzy boleści. Była to grupka szczerych przyjaciół, którzy zamierzali właśnie naciągnąć mnie na koleżeńskie, bezzwrotne pożyczki, ale się spóźnili. Tych szczerze żałowałem, ponieważ byłem wprost przyzwyczajony spieszyć im z pomocną dłonią na każde życzenie.

I była wreszcie popłakująca garstka niepoprawnych optymistów, spodziewających się spadku. Co za ironia! Jestem przecież goły jak święty turecki.

Jeden z czterech dryblasów niosących trumnę z moimi śp. zwłokami, objaśniał towarzyszy: Znałem go za życia, bo mieszkał naprzeciw i patrzyłem nieraz na jego występne poczynania. Oto pijak i ladaco! Lepiej, że taki nie żyje!

Któryś ze znajomych naciągaczy palnął sobie mówkę pogrzebową. Przeszedł „dobrze czyniąc" — mówił. — Boleść nasza jest niezmierna, wszystko przemawia za tym, że jako dobroczyńca potrzebujących byłby wyciągnął z biedy całe zastępy ludzi. Po tej wzniosłej przemowie złożono na trumnie wieńce z jeszcze wznioślejszymi napisami i zacząłem następnie wędrować wprost do nieba. Na piechotkę. Prościutko jak sierpem rzucił. I prawdopodobnie przez pomyłkę, bo za życia wszyscy mi radzili, abym wreszcie „poszedł do diabła", ale ja jak zwykle nie posłuchałem starszych.

Przy bramie niebieskiej ujrzałem ku najwyższemu zdumieniu straszliwie długie lufy dział przeciwlotniczych. Św. Piotr widząc moje przerażenie, mówił: — Nie bój się synu, bo armaty te służą li tylko do ewentualnego strącenia angielskich balonów zaporowych, które po zerwaniu się z uwięzi, mogłyby porobić szkody w kosmosie. — Tymi słowy uspokoił mnie święty staruszek.

Gdy wszedłem w obszar nieba, otoczyło mnie zaraz na wstępie trzech młodzieńców i przedstawiwszy się jako bridżowcy, chcieli mnie namówić na partyjkę: — Słyszeliśmy tu już o panu i cieszymy się niezmiernie, że pan przyszedł. Już zamierzałem zasiąść do stolika, jednak zainteresowało mnie jakieś zbiegowisko, czerniejące w oddali. Był to — jak się okazało — ogonek kartkowy po nowe listki figowe. Spieszę dalej i widzę różnego rodzaju napisy, jak np. „Nie deptać gwiezdników!", „Nie czepiać się samolotów!", „W razie alarmu lotniczego, schron znajduje się na placu Adama i Ewy!" itd. Okazuje się, że niebo również nie zaniedbało przygotowań na wypadek ataku lotniczego.

W dalszej wędrówce zauważyłem całe szeregi sklepów komisowych, z których kilkanaście zamknięto za paskarstwo. Nagle doleciał mnie zapach cebuli. Obejrzałem się zdziwiony i ujrzałem zbliżającego się Mojżesza bez opaski. Widząc moje zdumienie, uśmiechnął się dobrotliwie i wytłumaczył, że tamtejszy gubernator generalny zwolnił ich od noszenia opaski, jako że żyda po zapachu snadnie rozpoznać każdy jest w stanie. Chciałem go zaprosić na obiad do najbliższej restauracji, jednak na drzwiach wisiał napis: „Juden Eintritt verboten". Aha — myślę sobie — to nawet i w niebie do nich się porządnie wzięli.

W tej chwili przejeżdżał właśnie tramwaj niebieski. Nie namyślając się długo, wskoczyłem w biegu na platformę, płacąc oczywiście karę. Ale to mi zaimponowało, bo każdy przyzna, że w niebie przede wszystkim rygor i porządek panować muszą. Po przejechaniu kilku przystanków, zapytałem grzecznie stojącego obok mnie anioła o najbliższą kawiarnię. — Szanowny pan dopiero pewnie dzisiaj przybył, że nie zna dzielnicy kawiarń — odpowiedział anioł. Proszę wysiąść na najbliższym przystanku i iść ulicami Adama i Ewy a zobaczy pan nie jedną, ale tysiące kawiarń.

Wszedłem do szklanej groty „pod pingwinem", gdzie zespół pięknych i dobrze odżywionych girls odtwarzał w pantominie tanecznej przebieg całego potopu. Następnie żona Lota występowała jako słup soli, rozdając każdemu po szczypcie, jako że właśnie po sklepach soli brakowało.

Wśród tych rozkoszy wzrokowych nadeszła godzina policyjna. Poszedłem do hotelu „pod Krakusem". Wkrótce spałem jak zabity po tylu wrażeniach. Rano jednak nie chcieli mi podać śniadania, bo przez lenistwo zapomniałem poddać się szczepieniu przeciwtyfusowemu. Nie przysługiwała mi również karta żywnościowa. Zrozpaczony powróciłem na ziemię i ocknąłem się w Krakowie.

IGRASZKI ŻYCIA

Spotkali się pierwszy raz przy studni.

Brała wodę, jakby z namaszczeniem, małym kubełkiem szukając w głębinowej czeluści kamiennego kręgu — lepszego zaczerpnięcia.

Dziewczęca młodość zmieszana z powabem lekkiej zalotności biła z ócz pięknych, mówiła czarem w każdym najmniejszym ruchu zgrabnej postaci, a uśmiech, taki inny, nieprzeciętny, był dopełnieniem całości. Obcisła niebieska sukienka uwydatniła jeszcze bardziej wdzięk kształtnej figurki; w wycięciu odsłoniętego bolerka przyciągał barwą czerwono-brunatny swetr spięty u szyi metalowym ściągaczem.

Obok niej stał niepozornie mały i kalectwem obarczony człowieczek, lecz przy bliższej obserwacji w wieku właściwym. Całym swym wyglądem wskazywał jednak na dużą inteligencję, wejrzenie miał tak ujmujące, że wywoływało zaciekawienie wprost bez końca.

Padły pierwsze kropelki wody, nabranej zanurzeniem małej rączki i nagłym pryśnięciem na stojącego jakby w odrętwieniu czy ciężkiej zadumie, a później znów nieodłączny śmiech i głośne — „do widzenia".

Teraz wpatrywał się uporczywie w odchodzącą, może chciał upamiętnić w myśli dziwnie zmniejszającą się w oddali postać dziewczęcą aż do całkowitego zaniku.

Nie rozmawiali.

To były spojrzenia, skierowane przypadkiem spotkanie dwóch odrębnych środowisk. W zapoznaniu sprzęgły się przyjazne uczucia; zwarte są dobrze narysowane dążenia.

Wspólny zamiar odnaleziony już i wybrany.

— — — — — — — — — — — — — — —

Idą w alei kroczyńskiej razem Ina i Alek, nie wzrusza ich cisza rozpostarta wśród brzóz niewielkich i sosen pozginanych niby dla rozrywki i tak rosnących gęstym szpalerem po obu stronach spacerowej ścieżki.

Usiedli na pierwszym napotkanym i fantastycznie zgiętym konarze drzewa; zaszumiały im nad głowami wzniecone wiatrem liście.

— Złuda czy rzeczywiście tyle mam szczęścia.

— Alek? Śmieszny jesteś, uczucia nie mierzymy metrem, poprostu sympatycznyś i kochany; rewanżujesz się doskonale; patrz, jak mnie usteczka bolą, czy można tak bezlitośnie? I dla poparcia swej skargi rzuciła zalotnym wejrzeniem, co topi z pewnością twarde nawet metale.

Nagłym pocałunkiem zciszył przypływ nowych wyrazów.

Z gwałtownym rytmem serca, nieokreślone linie ciepła przesunęły tam i z powrotem, lekkie oszołomienie ciężkim bezwładem zajmuje wszystkie zakątki młodego ciała.

Cisza! W powietrzu zafalował mdły i trwały zapach igliwia sosnowego.

Upalnie! Liczne ukosy słońca przeniknęły ziemię, by całkowicie przepalić.

Przed Iną wzruszonym głosem tworzy Alek obrazy składane z najlepszej wróżby:

— Będziesz panią Czuperską, znużony pracą słucham twego czytania lub zwykłej rozmowy... Pokoik nasz zawiera mały obrazek Matki Boskiej Częstochowskiej i zapełniony wzorzystymi makatkami; jest ślicznie, zacisznie, mile.

Krótki rzut do zegarka; czas wracać do domu.

Ina malutką rączką poprawia rozsunięte włosy. Alek wprawnym ruchem zawodowcy dobywa z kieszeni „Kodaka", sekunda starczy na przekręcenie bocznej śrubki i nasunięcie taśmy filmowej. Krótki szczęk migawki. I gotowe!

— Niech mój pan!... znany fotograf wykona dla mnie piękną fotografię.

— Spróbuję.

— To musi być, protestu nie lubię — niezadowolenie wykwita w kącikach wypukłych usteczek.

Powrót do domu!

Ina Potokówna w drodze przypomina sobie codzienny marsz do szkoły krawieckiej w Kroczynie. Zwykłą salę z długimi stołami, zawzięty turkot maszyn, porzucone w nieładzie tkaniny i długie stosy szpulek bawełny i nici. Nieustanny gwar i śmiech koleżanek. Stale mierzy tę samą drogę z wioski odległej taśmą kilometrów, dla nauki, dla specjalizacji fachu.

Czuperski tego dnia towarzyszył dalej niż do plantu kolejowego, do samej wsi Zastawki.

* * *

Umówione listy od Iny nie dochodzą. Alek z wyraźnym zniecierpliwieniem stokrotnie przechodzi jednakową przestrzeń swego pokoju i coś z uwagą sumuje w myśli, zaniepokojenie dodaje nowe i coraz bardziej sprzeczne z sobą przyczyny.

Majestatyczna jesień spieszy zastąpić upalne miesiące letnie.

W szkole krawieckiej w Kroczynie ruch nie mały.

Bliski egzamin nauki wzbudził niebywały pośpiech w odnowieniu zapomnianych rysunków i pokazów modelowania.

Liczne główki okolone fryzurą i gęstwiną pięknego uczesania, schylone nad grubymi zeszytami szaro-brązowego papieru.

Między wyrazami: pasowa, podstawowa — znajdują się zupełnie inne.

Cichym szeptem wiecznie uśmiechnięta i ciągle zczerwieniona panienka wyjaśnia innej z pięknym zamyśleniem w jasnych przejrzystych oczach — konieczne wrażenia pierwszych wydarzeń. Młodziutka i dosyć pełniutka o zdziwionym nosku, ciemnej czuprynce, krzykliwym głosikiem udziela pilnym słuchaczkom istniejące bez błędów spostrzeżenia.

Przyjechał... z dalekich stron świata... kolega zabaw dziecinnych... przypomnienia... wszystko na dobrej drodze...

— — — — — — — — — — — — — — —

W malutkim kościółku przy cmentarzysku w Kroczynie na sumie niedzielnej moc ludzi; w dostawionej przybudówce drewnianej nie ma już wygodnego miejsca.

Z ambony doleciał właśnie poważny głos księdza, kończącego długą serię zapowiedzi: — Ignacy Błędek, kawaler z Krzewin Wielkich z Ireną Potokówną, panną z Zastawek...

Przyciszony jęk z ciemnego zakątka pod chórem i coś małego stuknęło o tafle posadzki; dalszych słów nie dosłyszał Alojzy Czuperski, ciemności zdusiły wszelką świadomość, ucisk ogromny opasał sklepienie głowy.

Ludzie wracali z nabożeństwa weseli, uśmiechnięci.

Wysoki jak tyczka do grochu, poważny pan w narciarskiej czapce mówił do swych kolegów:

— Potokównę znam dobrze... sierota... zrobiła trafny wybór... Życie bez cierni...

— Wiadomo — potakiwała, aby coś mówić, przygodna sąsiadka.

— Maluśki pan do niej zabiegał z kochaniem, uczony podobno i jakiś pokraczny... wiadomo...

— — — — — — — — — — — — — — —

W lustrze przegląda twarz oryginalnie wtulona w ramionach; ostrze brzytwy uciesznie zbiera puszyste wyniosłości piany; giną ciemne plamy zarostu. Na nierównym zgięciu szyi przy krtani gwałtowne cięcie i... ciemny paseczek krwi wpierw powoli, potem coraz chyżej płynie po ubraniu.

Mgliste kręgi rosną i duszą głowę. Twarde uderzenie o podłogę.

Z daleka docierają okrzyki, trzask otwieranych drzwi.

Zdyszany doktór uważnie sprawdza stan leżącego.

Ratunek skończony.

Diagnoza postawiona: Przerwana tętnica szyjna... upływ krwi z mózgu... zgon...

Nad wyprostowanym w objęciu śmierci Alkiem Czuperskim klęczała schylona matka i zbierała targana żalem łzy z policzków.

Jawor.

Kościoły znowu otwarte

Ponieważ „władza" uciekła, zabrawszy ze sobą klucz, muszą mieszkańcy otwierać drzwi przemocą.

Mieszkańcy pełni skupienia pobożnego stoją przed krzyżem naprędce zrobionym i ustawionym w miejscu, gdzie stał ołtarz.

Kilka krzyżów na grobach zarośniętych jest zupełnie trawą. Obecnie nikt nie przeszkadza mieszkańcom odwiedzać cmentarz.

Fot. Ass. Press

W LAS VEGAS

Las Vegas w stanie Nevada w Ameryce jest nie tylko rajem dla wszystkich zwolenników hymenu, lecz także dla tych małżeństw, które z jakichkolwiek powodów mają zamiar rozejść się. Jedynym warunkiem uzyskania ślubu lub rozwodu jest sześciotygodniowy pobyt w tym stanie. Ale liczne lokale rozrywkowe dbają o to, by w okresie tej „kwarantanny" nikt się nie nudził. I tak widzimy na lewo amerykańską artystkę radiową Dee Knox skracającą sobie czekanie na rozwód w barze. Przebrani za cowboyów panowie dbają o zabawienie gości przyjemną rozmową. U góry na lewo widzimy typową reklamę biura matrymonialnego.

W RAJU rozwodowym

Fot. Ass. Press

Na lewo:
Wodospad Niagary jest znanym i ulubionym miejscem spotkań dla nowożeńców, którzy tutaj życzą sobie szczęścia małżeńskiego.

Znany mistrz bokserski Joe Louis bił swoją żonę, wobec czego podała ona o rozwód, gdyż cierpiało na tym jej zdrowie. Nikt w to z pewnością nie wątpi, bo tam gdzie uderzy pięść mistrza bokserskiego ciężkiej wagi, na pewno muszą pozostać ślady.

U dołu na prawo widzimy panią Marva Trotter Louis, na lewo zaś mistrza świata w boksie na ringu podczas walki. Powód podany przez Mrs. Trotter Louis jest wystarczający, by mogła ona uzyskać rozwód.

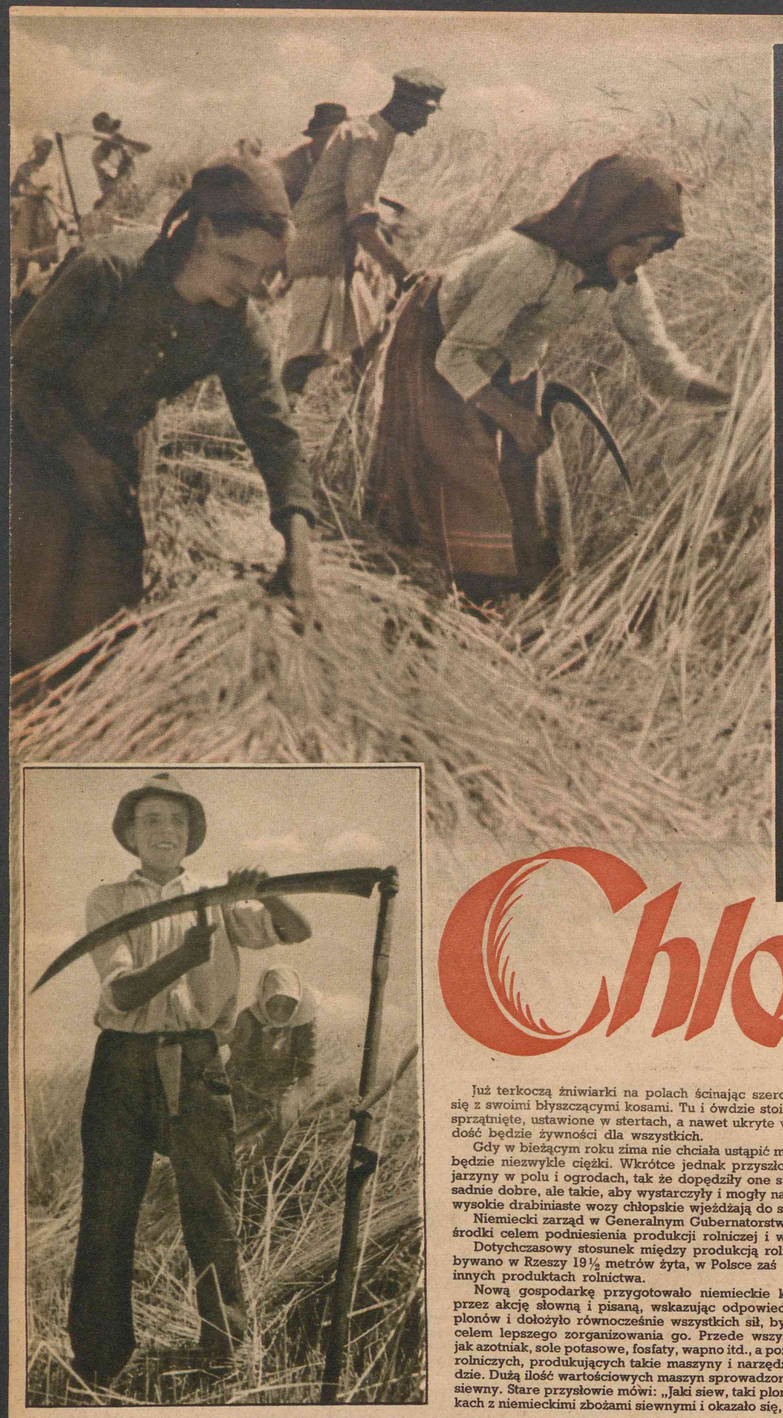

Chleba na

Już terkoczą żniwiarki na polach ścinając szerokimi płatami dojrzałe zboże, ale również żniwiarze zjawili się z swoimi błyszczącymi kosami. Tu i ówdzie stoi jeszcze zboże na polu, wiele jednak zostało już zżęte, wiele sprzątnięte, ustawione w stertach, a nawet ukryte w stodole. Ziemia wydała znowu swoje plony i na przyszłość dość będzie żywności dla wszystkich.

Gdy w bieżącym roku zima nie chciała ustąpić miejsca wiośnie, przypuszczali niektórzy pesymiści, że rok ten będzie niezwykle ciężki. Wkrótce jednak przyszło słońce i deszcz, zboże podrosło, wystrzeliły też pozostałe jarzyny w polu i ogrodach, tak że dopędziły one swoją właściwą wegetację i dają zbiory wprawdzie nie przesadnie dobre, ale takie, aby wystarczyły i mogły nakarmić wszystkich. Można nawet powiedzieć, że w tym roku wysokie drabiniaste wozy chłopskie wjeżdżają do stodoły właściwie bardziej naładowane, jak w roku ubiegłym.

Niemiecki zarząd w Generalnym Gubernatorstwie rozpoczął od pierwszego dnia stosować szeroko założone środki celem podniesienia produkcji rolniczej i wydobycia jak najwięcej plonów.

Dotychczasowy stosunek między produkcją rolną Rzeszy i Polski przedstawiał się tak, że z hektara wydobywano w Rzeszy 19½ metrów żyta, w Polsce zaś 11,2. Taki sam niekorzystny stosunek zachodził również przy innych produktach rolnictwa.

Nową gospodarkę przygotowało niemieckie kierownictwo w Generalnym Gubernatorstwie nasamprzód przez akcję słowną i pisaną, wskazując odpowiednią drogę do podniesienia produkcji i uzyskania lepszych plonów i dołożyło równocześnie wszystkich sił, by oddać do dyspozycji rolnictwa wszystkie właściwe środki, celem lepszego zorganizowania go. Przede wszystkim wzmożono znacznie stosowanie sztucznych nawozów, jak azotniak, sole potasowe, fosfaty, wapno itd., a poza tym uruchomiono bardzo prędko 9 fabryk maszyn i narzędzi rolniczych, produkujących takie maszyny i narzędzia rolnicze, których rolnictwo potrzebuje w pierwszym rzędzie. Dużą ilość wartościowych maszyn sprowadzono z Rzeszy, oddano również do dyspozycji najlepszy materiał siewny. Stare przysłowie mówi: „jaki siew, taki plon". Dawny materiał siewny został użyty w tych samych warunkach z niemieckimi zbożami siewnymi i okazało się, że przy tych ostatnich plon z hektara był trzykrotnie większy.

Tegoroczne żniwa są widomym sukcesem tych wszystkich wysiłków, gdyż wszędzie zdołano uzyskać dobre plony, dające rękojmię, że przy odpowiednim uchwyceniu ich wszyscy w bieżącej zimie będą mieli zapewnione wyżywienie. Pozostawiając rolnikowi dostateczną ilość środków spożywczych na własne potrzeby, rozdzieli się resztę drogą urzędowych przydziałów pomiędzy ludność. Władze Gen. Gub. starają się o sprawiedliwy podział żywności pomiędzy mieszkańców, będą jednak mogły przeprowadzić swój plan dopiero wtedy, jeżeli rolnik stosować się będzie do przepisów rządu o oddawaniu zbiorów. I tutaj należy sobie przypomnieć przykazanie: kochaj bliźniego jak siebie samego.

przeszło 50,000.000 złotych. Dzisiaj przeszło 300.000 ha roli zostało doprowadzonych do właściwego stanu, przynosząc większe rezultaty niż poprzednio.

Tuż za walczącym frontem wschodnim, pomiędzy wiatrakami i łanami zbóż stoją niemieckie działa przeciwlotnicze, aby młyny i żniwa uchronić przed nalotami lotnictwa rosyjskiego.

Fot. Ass. Press (2)
Dillan — Stöchl (3)

Na lewo: Żołnierze niemieccy na wschodzie zabrali się od razu do montowania poniszczonych po większej części przez bolszewików maszyn potrzebnych do żniw, aby zbiory mogły zostać na czas zwiezione.

Większość pól i łąk w Generalnym Gubernatorstwie jest również w złym stanie z powodu zabagnienia, toteż daje mniejsze plony. Kto odbywa wędrówkę po polach i baczniej obserwuje otoczenie, stwierdza z przerażeniem, że woda stojąca w bruzdach nie odpływa całymi dniami, a nawet tygodniami, czyniąc ziemię „kwaśną". Toteż i w tej dziedzinie kierownictwo niemieckie musiało przystąpić do zdrenowania i innych prac melioracyjnych na wielką skalę. W ubiegłym roku wydano na prace w tej dziedzinie

Mistrz dusz

Napisał
Gjuro Vilović

13 ciąg dalszy

Autoryzowany przekład z chorwackiego W. Podmajerskiego

STRESZCZENIE DOTYCHCZASOWYCH ODCINKÓW:

Do wsi Vrela, prowadzącej od 57 lat walkę z proboszczami przychodzi nowy proboszcz, don Lovro, który przez swój osobisty urok, godzi wieś z diecezją. Don Lovro opuścił dawną parafię dlatego, że mieszka tam nauczycielka Maja, która kocha księdza i którą też ksiądz kocha. Kancelaria biskupia, zdumiona tak prędką zmianą nastroju we wsi Vrela, przysyła proboszczowi wikarych na naukę władztwa dusz. Jednakże służący proboszcza i zarazem jego kucharz i zaufany, Vito, obawiając się, by przez przybycie tych wikarych nie zmniejszył się wpływ proboszcza na ludzi, doprowadza do tego, — sposobami zupełnie zresztą niewinnymi — że kapelani opuszczają dobrowolnie wieś. Trzeci kapelan zdobywa sobie jednakże miłość wsi i to nie tylko dzięki osobistemu urokowi, lecz także dzięki głębokiej wierze, która z niego promieniuje. Nauczycielka Maja przysyła tymczasem list za listem, w których tęskni za don Lovrem i w których daje mu poznać, że opuszczenie dawnej parafii było ze strony don Lovra aktem ucieczki przed nią, co jest zgodne z prawdą. Don Lovro, jedzie do niej na kilka dni, potem wraca. Tymczasem toczy się życie we Vrelach swoim trybem, wieś podzieliła swoje uczucia pomiędzy obu księży, co bardzo martwi Vita, zazdrosnego o powodzenie swego pana. Po kilku miesiącach proboszcz otrzymuje list od Mai, w którym ta donosi mu, że zostanie matką. Don Lovro jest przerażony, gdyż fakt ten uważa za przeszkodę dla swojej działalności kapłańskiej. Chcąc zyskać na czasie, wyjechał z wycieczką do Ziemi Świętej. W międzyczasie Maja zjawiła się na plebanii i czeka na niego. W krótce proboszcz wrócił. Zaczyna się w nim walka między obowiązkiem kapłana i człowieka.

— Co by mogło być dziecku?
— Nasze nieszczęście! To mu jest!
— Co by mu tu dać?
— Parę łyżeczek rumianku.
— Przynieś-no.
— Gdybym tylko miał...
— Herbatę masz?
— To mogę.

Vito skoczył po schodach i za chwilę wrócił z herbatą. Dali maleńkiemu i czekali, czy się uspokoi.

Dziecko płakało dalej: głośno i boleśnie.

Chwilami uspakajało się na sekundę, dwie. Widocznie zmęczone i nie mając siły dalej płakać. W czasie tych pauz plebania oddychała z ulgą i lękiem. Wszyscy oczekiwali z drżeniem i strachem: Maja, Don Lovro, Vito i kapelan.

Znowu płacze, znowu posępne, przestraszone i zrozpaczone twarze.

Maja bała się o to maleńkie życie, wszyscy inni bali się o wieś. Wydawało im się, że ten płacz leci jak głos dzwonu w wieś i objawia ciężką tajemnicę plebanii.

We wsi tymczasem toczyły się takie rozmowy w gromadkach:

— A nie mówiłam? Nie płacze?
— Słyszałam.
— Idź i posłuchaj... Wiele nas słyszało. Słyszałam ja, słyszała Mara Dorina, Vica Tepina, Kata Kaćina i wszystkie, które dzisiaj były na plebanii. Słyszałyśmy: płacze.
— Czyjeż ono?
— Vitowe nie jest.
— Proboszczowe?

Wzruszano ramionami.

— Kapelanowe?
— Kto to wie.
— Płacze...!
— Płacze.

W bibliotece spotykali się: proboszcz, kapelan i Vito.

— ? — pytał proboszcz oczyma i zaciśniętymi, bladymi wargami.

— Trzeba przywołać lekarza! — rzekł zaraz i stanowczo kapelan.

Don Lovro spojrzał znów na kapelana i rozpalił się:

— Cała wieś będzie widzieć lekarza.

Proboszczowi znów się zapalił bengalski ogień: chce mię wysadzić...

— Będzie go widzieć i...?

— Jakiego lekarza? Co mu lekarz może pomóc więcej od nas? Mały nic mu nie powie, tak samo jak i nam.

— Ono umrze... — rzekł Vito z rezygnacją, lecz wyraźnie i pewnie.

— Co? — targnął się proboszcz.

— Umrze. To już teraz pewna sprawa. Żaden lekarz już mu nic nie może pomóc. Umrze od złych myśli i od złych oczu.

— Jakich złych oczu? Kto go widzi?

— Wieś je słyszała, wie o nim, widzi je, choćby to nawet były mury obronne, a nie zwyczajne domowe i ściany. Wieś myśli o nim i to tylko źle. Setki złych myśli unosi się nad nim i pada na nie. Stos złych myśli leży na nim i przygniata je jak zmora. Już ja wiem, jak to jest... Mieliśmy i my na okręcie człowieka...

Vito urwał, zapatrzył się we wspomnienie, poczem ciągnął dalej:

— Płynęliśmy Południowym Morzem i ten człowiek, a był to drugi kapitan, jakiś Holender, zmienił się nagle. Oszalał i zamęczał nas wszystkich, gdy tylko objął służbę, jakby się rozkoszował naszym cierpieniem. Nie jest to nic niezwykłego. Na południowych morzach odmieniają się ludzie czasami i stają się tak innymi, jak gdyby się na nowo urodzili i w jednej chwili wyrośli zupełnie innymi. Odmienił się i stał się jakby jakimś potworem: pędził nas, przeklinał, a razu jednego puścił na nas wrzącą wodę.

Pierwszemu kapitanowi powiedział, że załoga się zbuntowała. Nikt się nie buntował, nikt o buncie nawet nie pomyślał, a on w swojej złości wymyślił bunt. Na tym słońcu i w tym powietrzu chyba się mu klepki w głowie pomieszały i zobaczył bunt. Zabił dwóch ludzi. Obydwóch spuściliśmy na desce w Południowe Morze i tak się ich pochowało na dnie morskim. Rozżaliło to nas i znienawidziliśmy człowieka. Nienawidziliśmy go i tylko o złym myśleliśmy dla niego i zło go też znalazło. Legł i nie wstał więcej. Leżał, sechł, aż usechł i spuściliśmy go martwego na desce w morze.

— Więc?
— O, to właśnie...

Pauza. Wszyscy trzej rozmyślali o Holendrze, który umarł: legł zabity złymi fluidami rozeźlonej załogi, usechł i umarł.

Pierwszy uśmiechnął się Don Joso.

— Daj temu spokój, Vito... Trzeba wezwać lekarza.
— Lekarza? — powtórzył sceptycznie Don Lovro. — W takim razie skończone z nami.
— Dlaczego? Lekarz może przyjechać wieczorem, a jeśli dziecko umrze, pogrzeb musi się odbyć w dzień.

Widocznym było, że proboszcz do tej chwili nie pomyślał o pogrzebie. Zerwał się:

— Vito, sprowadź lekarza!

Garbus ruszył się niechętnie. Ode drzwi spojrzał jeszcze raz na kapelana oczyma pełnymi nienawiści i wściekłości:

— Teraz już gotowe!

Przez kilka chwil, w atmosferze biblioteki, pomiędzy obu ludźmi, którzy patrzyli na siebie niemo i dużo mówiącym spojrzeniem, pozostał głos Vita i wściekłość jego spojrzenia.

— Skończyliśmy — dokończył Don Lovro ciężkiej gry jednego zdania, rzuconego w bibliotekę i w czas.

— Ratujcie syna, księże proboszczu! — szepnął twardo kapelan i z mocą przeszył proboszcza spojrzeniem. — Zróbcie, księże proboszczu, wszystko, co człowiek może zrobić, abyście nie obciążyli swego ludzkiego sumienia.

— Dlaczego to, księże kapelanie, mówicie?

— Bo jestem chłodniejszy od was. Widzę, że przyjazd lekarza nie może oznaczać żadnego pogorszenia waszej sytuacji, ale może oznaczać znaczne ulżenie waszemu sumieniu.

W tej chwili dziecko w „biskupim" pokoju zapłakało rozgłośnie i boleśnie. Płacz jego rozdzierał przestrzeń, ojca, matkę i kapelana. Przebijał się przez ciężkie zasłony i przez mury i niósł się ku wsi. Płacz był długi, rozgłośny i bolesny.

— Umrze. Posiniały mu wargi i twarz — oznajmiła Maja bez tchu.

— Nie umrze. Przyjedzie lekarz i usunie mu boleści — rzekł Don Joso sugestywnie.

— Gdzie jest lekarz? — oglądnęła się Maja.
— Przyjedzie.
— Dziękuję.
— Proszę bardzo.

Pod wieczór tego samego dnia przyjechał lekarz. Stwierdził u dziecka zaburzenia żołądkowe i zalecił kleik i jakieś jeszcze drobiazgi.

— Uspokoi się...
— Czy wieś widziała lekarza? — pytał proboszcz Vita w bibliotece.
— Wszystko jedno.
— ?
— Czy widziała, czy nie widziała, to wszystko jedno. Wieś już wcale nie pyta, czy dziecko płacze na plebanii. Wieś pyta teraz tylko: czyje jest?
— A co myśli?
— Że to kapelanowe.
— A kapelan?
— Nie myśli nic, jemu wszystko jedno, pali papierosy, wesoły jest i o nic się nie troszczy. Bo i o co miałby się troszczyć? Co to jego obchodzi?
— Myślisz, że on by...
— Dlaczegóż by nie?
— Dlatego, że powiedział, że nie...
— Hahaha!... A czy on to wiedział, że wszystko spadnie na niego? Powiedział, że nie zdradzi obecności dziecka na plebanii. Tego też nie zrobił.

Zaraz po potwierdzeniu się pogłosek, że na plebanii rzeczywiście dziecko płacze, wieś postawiła pytanie:

— Czyje ono?

Wyrastały liczne zgadywania, tłumaczenia i legendy. Jedna legenda przytłumiała drugą, pierwsze żyły obok drugich.

Wieś spędziła noc z pytaniem:

— Czyje ono?

Przed południem tego dnia zrodziła się i pozostała taka legenda:

— Ivan Kapić, syn kulawego Toma, przyszedł z miasta. I on to mówi. Powiedział mnie, Tonie, Annie i Marcie Topinej. Wszystkieśmy słyszały i wszystkie wiemy:

— Tam gdzieś w mieście, niedaleko miasta, w samym mieście, czy jakoś tam, bo to w mieście żyje więcej niż na przedmieściu, ta grzeszna dziewczyna. Całe miasto ją zna. Ona tak żyje: lata naokoło jak pies bezpański i tak jak pies nazbiera pcheł, tak ona nazbiera mężczyzn, a czasem i dziecko.

Jak urodzi dziecko, to wtedy chodzi naokoło i szuka dla niego ojca. A nigdy nie zatrzyma się u biednego.

Ładna jest ta grzesznica, bardzo ładna, a ma taką gładką i niewinną twarz, że jej wszyscy wierzą. Weźmie dziecko i zaniesie komuś do domu. Komukolwiek, byle komu, tylko nigdy biednemu.

Teraz je przyniosła naszemu proboszczowi. I taka sprawa.

— Akurat proboszczowi? Nie kapelanowi?

— Proboszczowi. Na niego czeka. Ivanowi Kapićowi, tak powiedzieli w mieście.

— Nam też to mówił — odezwało się jeszcze kilka kobiet.
— I mnie.
— I ja też słyszałam.

— Ivan nigdy nie cygani. Ivan jest poważnym człowiekiem i dużo nie mówi...

— Ale jakże, jakże?
— Co teraz będzie?

— Kobiecie się wierzy. Sąd jej wierzy. Wszyscy jej wierzą. Bezbożni ludzie są najłakomsi na to, żeby wzbudzić wiarę na szkodę bożych ludzi.

— Tak? To ona w takim razie zostanie na plebanii?
— I dziecko?
— I dziecko też zostanie
— Sąd wierzy kobiecie i sprawa skończona...
— Ale to nie mamy szczęścia!...
— Wiecie, jak tej kobiecie na imię?
— Emilia.

Jakby fala zgrozy lunęła na wieś na dźwięk tego imienia:

— Emilia!
— Naprawdę, Emilia.

Tak było na imię starej gospodyni starego proboszcza.

Fala zgrozy powtórzyła się, powróciła i znowu lunęła z powrotem. Przez tę falę widzi wieś całą grę starej Emilii w nowym, pogorszonym wydaniu, bo ta nowa miałaby i jakieś prawa na plebanii.

— Dawniej mieliśmy starą, a teraz będziemy mieć młodą i jeszcze do tego — dziecko!
— O Jezu!...
— Jezu...

Legenda zarażała wieś. W setkach gromadek: po podwórzach, po krętych, wąskich drożynach, w cieniu dachów kapała, odnawiała się w setkach wariacyj:

— Ivan Kapić przyszedł z miasta...
— Akurat Emilia? O, biada nam!

Wszędzie, gdziekolwiek pokazała się legenda o kobiecie, która podrzuca, rozchodził się jęk:

— Oj, biada nam, znowu Emilia!

Legenda dotarła do wszystkich krańców wsi, wniesiona została pod wszystkie dachy, rozstawiona po wszystkich drogach. Legenda żyje. Nie pojawiła się ani jedna nowa. Legenda o kobiecie, która podrzuca, zapanowała wszechwładnie...

— Przeklęta baba, córka diabła i piekła, ni stąd ni zowąd i akurat do nas trafiła?

— Tak długo czekałyśmy prawdziwego proboszcza i tak krótko cieszyłyśmy się nim, nieszczęsne...

— Diabeł nam psuje szczęście.

— Pozwolimy to diabłu, żeby nam psuł? — dorzuciła jakaś młoda, krągła Agata.

Wieś wstrzymała dech, zamyśliła się:

— Pozwolimy to?

Tylko na chwilę i zaraz pojawiły się pierwsze znaki odpornej, instynktownej siły wsi. Kobiety zaczęły przeklinać:

— Bodaj ją ziemia pochłonęła!
— Bodaj ją zaraza udusiła!
— Bodaj śladu z niej nie zostało!
— Kto to wie, czyje to dziecko!
— Nocy i diabła!

— Ledwośmy go doczekały, a teraz tak sprzed nosa ma nam go sprzątnąć jakaś taka miastowa dziewka?

— Nas setki i ona jedna!

— Tak: przyszła sobie, rozsiadła się w domu, gdy jego nie ma i czeka na niego...

— Co on pocznie, gdy ją zobaczy z dzieckiem?
— Biedaczysko!
— Święty człowiek!
— Źrenica Jezusowa!

— Przeklęty babski gad, ni stąd ni zowąd — do naszego proboszcza...

— Mamy na to pozwolić? Mamy na to pozwolić?
— Ona jedna, a nas setki...

Myśli wsi znalazły swoją formę. Znalazły ją jakieś Agaty.

— Ludzie, gdzie jesteście? Czyż nie będziecie bronić bożego człowieka od diabła napastnika?

— Jacyż to z was mężczyźni? Pozwolicie to, żeby ktoś pluł na waszą wieś, na wasz kościół?

— Brońcie bożego człowieka. Obrońcie Boga.

— Brońmy Boga! — Taką formę przybrała ostatecznie myśl wsi. Wynalazły ją Agaty. One to żłobiły pod wielu dachami, po wielu krętych, wąskich, wiejskich drogach, po gromadkach.

— Brońmy Boga! — wystrzelił jeden ciężki, czerwony, rozwiany sztandar, który wkrótce ujrzała i przyjęła cała wieś. Niosły go Agaty, a za nimi cisnął się chór Ivajan. Przestraszone, wylęknione i zaniepokojone jak kury, gdy się pokaże jastrząb, powtarzały:

— Znowu nas będzie odganiać Emilia: po coście tak rano przyszły, ksiądz proboszcz jeszcze śpi.

— Znowu nam będzie mówić Emilia: nie macie nic mądrzejszego do roboty, tylko marnować popołudnie w kościele?

— O Jezu!

— Jezu...

— Któż z nami będzie tak rozmawiał?

— Któż nas będzie tak słuchał?

— Tylko on jeden na świecie.

— O Matko Boska siedmiu boleści!

— O Jezu!

Ivajana zdrętwiała, przeżegnała się i suchymi wargami, jak suche liście w późną jesień, ucałowała krzyżyk na końcu różańca, który zaszeleścił pustym szelestem szkieletów:

— Diabeł się czepił naszego szczęścia.

— Zawistny i złośliwy psuje je...

— Kto nas będzie wołał dzwonem wczas rano? Z zapalonymi świecami czekał w kościele?

— Znowu Emilia? I jeszcze dziecko do tego...

— Jezu!

— Oj! Oj!

Kataluca jęczała setkami słów, setkami załamanych rąk, trzeszczących w skurczu:

— Czyż ma się pozostawić grzech w pośrodku wsi, przy samym kościele, w kościele?

— Na naszej plebanii diabeł?

— O Jezu drogi, słodki, jedyny! Znowu cię męczą, znowu cię krzyżują.

— Cierniową koronę ci wdziewają.

— Chcą Cię ukrzyżować, Jezu...

— Jezu drogi, słodki, jedyny!

— Skalać tego, który nas słucha w zastępstwie za Ciebie, rozmawia z nami w zastępstwie za Ciebie...

— Szatan nie pozwala, by Cię sławił wraz z nami.

— I chwalił...

— I śpiewał Ci dziękczynienie.

— Żeby nam mówił o Tobie, słodki, jedyny...

Wieś wrzała, kipiała wzburzona straszną legendą o kobiecie, która podrzuca. Prym wiodły Agaty:

— Czyż pozwolimy grzesznej, upadłej kobiecie i szatanowi, który ją wiedzie i prowadzi?

— Nas setki — ona jedna!

— Czyż on to ma zastać na plebanii, gdy powróci?

— Nasz proboszcz!

— Nasz...

— On ma być jej?

— Ona, grzeszna kobieta, ma go...

— Czyż dopuścicie do tego wy, mężczyźni, wy, siła i moc!

— Precz z nią! Niech idzie, skąd przyszła! Precz z nią!

— Precz... preeecz...! — Jak huk morskich bałwanów ryczało, zanosiło się i łamało po wsi. Huk? Nie, cichy, głęboki szept wszystkich Agat, który jest huczniejszy, potężniejszy i głębszy od huku morskich bałwanów.

— Wy, tacy silni, że ruszylibyście górę, czyż macie dopuścić, aby nad waszymi żonami wytrząsała się ta grzeszna dziewka, córka diabła?

— O mężowie, ona nad nami?

— Aby pluła po waszych żonach z wysokich okien plebanii, którą wyście wybudowali? — Biczami oczu, słów i jasno wyrażonej woli popędzają mężów:

— Brońcie Boga...

— Brońcie niebo...

— Brońcie wasze żony, aby na nie nie pluła ladacznica.

— Mężczyźni!

Biczami słów, spojrzeń i wezbranej krwi soczystych twarzy popędzają ich.

Mężczyźni kiwają głowami, zastanawiają się i pytają:

— Rzeczywiście jest jakieś dziecko na plebanii?

— Durnie! Pytacie? Wszyscy je słyszeli?

— Ona jest na plebanii?

— Rozsiadła się na plebanii i czeka na niego, nieboraka, na świętego człowieka!

— Kiedy tam jest, to można ją i widzieć?

— I dziecko też można widzieć!

Mężczyźni się poruszyli:

— Zobaczmy! Zobaczymy!

BUNT WSI

Tego samego dnia, około drugiej godziny po południu, kucharz Vito zauważył pierwszy, że jakieś kobiety zbliżają się ku plebanii. Jedna grupa Kataluce. Szły zasapane, gestykulowały żywo i słychać było hałas ich słów i zdań. Widać było wymachiwanie rękami, wykrzywione twarze i brzydki chód kobiet śpiesznie idących. Vito zaniepokoił się. Ścisnął go tępy ból przeczucia. Doznał takiego uczucia, jakiego zawsze doznawał przed katastrofą.

— Teraz, o tym czasie?

Minęły lata, odkąd jest w służbie u proboszcza, minęło wiele miesięcy, jak jest tutaj we Vrelach, ale nigdy nie widział w dzień roboczy, o tej porze dnia, aby kobiety przychodziły na plebanię. Nie pomyślał nawet przez chwilę, że przejdą i miną plebanię. Zaraz tę pierwszą grupę powiązał związkiem przyczynowym z płaczem dziecka na plebanii.

Czekał, czy pokaże się jeszcze więcej kobiet...

Nadchodziły. Na obszerny dziedziniec kościelny wchodziły gromadki nieumytych, nieuczesanych. Przychodziła wieś codzienna, obszarpana, zeznojona.

Kataluca była jeszcze w większości. Była w pełnej liczbie. Tłum brzydkich, wstrętnych, niezupełnych głów, rozpalonych płomieniem nienawiści, zemsty i żaru. Każda prawie głowa ukazywała język w wariackiej szybkości ruchów i paplania...

— Jezu, jedyny, drogi nasz, taki grzech i sromota...

Wiejskie odrzucone dziewice stoją w największej napięciu i w niecierpliwości, by pokazać, jak całe i wszystkie należą do Jezusa.

— Wypędźmy diabła z naszego kościoła!

— Wypędźmy go!

— Zróbmy miejsce duszy...

Zwróciły się niespokojnie w stronę plebańskiego dziedzińca.

— Kto z Jezusem, naprzód!

— Naprzód za cześć drogiego naszego Jezusa!

Stoi ich tłum i sapie, sapie... Głowy są brzydkie, wstrętne, niezupełne, wszystkie coraz bardziej się zapalają. Głosy padają coraz szybciej i mocniej. Idą z sobą w zawody. Każda z nich stara się przecisnąć na przód i być przewódczynią. Są jakby bez rozumu, zniekształcone. Wymachują rękami, usta ich zapienione, oczy zalane krwią. Zdania krzyżują się, okrzyki paraliżują. Ze wszystkiego tego jeden wielki, wrzeszczący, histeryczny zgiełk:

— Jezus...

— Cześć...

— Zemsta...

Wylatują oderwane słowa z olbrzymiego, szerokiego zgiełku.

Ivajany stały jako osobna grupa z drugiej strony wejścia na dziedziniec kościelny. Zgarbione, powykręcane ciała — jak powalone żyto po burzy. Poruszają się, wyprostowują, skupiają. Załamują się czarne, suche ręce i trzęsą się wraz z ziarnkami różańców, co szeleszczą jak szkielety.

Tłum rośnie, przyłączają się doń i Agaty.

Burza głosów: wielki, niezestrojony zgiełk podnosi się i wypełnia przestrzeń koło kościoła, nad kościelnym dziedzińcem, kąpie się już w nim stara, teraz jakby zgarbiona plebania.

Agaty są nieme, lecz wzburzone. Każda towarzyszy swemu mężowi. Stoją mocno przy nich. Oni patrzą ich oczami, one słuchają za nich i reagują za nich:

— Mnóstwo ludzi. Wieś nie pozwoli... Jesteśmy tu wszyscy i co nam kto zrobi?

— Mężczyźni naprzód! — zawołał ktoś w tłumie.

— Chodźmy! Chodźmy! — szepnęły Agaty. Szepnęły, ale ich szept ryknął, zawył w zmąconych duszach ich mężów.

Ivajany też nie spoczywają. W tłumie głosów, słów, westchnień, okrzyków i zgiełku wzgardzonych dziewic, staruszki podnoszą ręce i wielkie ziarna różańców:

— Gdzie są mężczyźni? Niech oni idą pierwsi!

— Mrko, niech Mrko idzie pierwszy!

Hałasuje Kataluca, Ivajana i Agaty.

— Wieś nie żartuje. To sprawa poważna! — poznał Vito i skoczył po schodach tak, jakby to prędko i elastycznie uczyniła jego małpa Didi po jakiej drabinie.

W bibliotece zastał samego proboszcza, który nie spodziewał się niczego. Jak gdyby niczego nie zauważył. Zerwał się, gdy zobaczył Vita. Garbus wyglądał strasznie: bez barwy, bez słowa, jak tknięty paraliżem.

— Co się stało, Vito?

Długo czekał, nim doczekał jego odpowiedzi:

— Źle.

Dyszał ciężko, zasapany i zbierał siły: — Wieś się buntuje. Na dole jest cała wieś na dziedzińcu kościelnym. Są wszyscy i młode kobiety z nimi.

— Czego chcą?

— Nic dobrego...

— Co mówią, głuptasie?

— Nie wiem. Nie słyszałem. Bo jakże? Poleciałem zaraz, żeby księdzu proboszczowi donieść.

— Wracaj i posłuchaj, co mówią, czego chcą...

Vito myślał przez chwilę, skąd by mógł słyszeć, co wieś mówi na dziedzińcu kościelnym.

— Z za okna u kapelana...?

— Tam będziesz miał najbliżej...

Vito zbiegł po schodach. Przy oknie w swoim pokoju stał już Don Joso i nadsłuchiwał, patrzył przez przyciągnięte żaluzje.

Wieś gromadziła się coraz bardziej na dziedzińcu kościelnym. Tłum rósł nieustannie. Schodziły się dzieci i mężczyźni, którym towarzyszyły Agaty. Nie brakowało też i wiejskich parobczaków. Mężczyźni nie byli wzburzeni. Wchodzili na dziedziniec niemi i półuśmiechnięci.

— Mężczyźni naprzód! — wykrzyknął znów ktoś w tłumie. Był to widocznie głos jakiejś Katalucy, bo nikt się nań nie odezwał, nikt się na ten głos nie poruszył. Mężczyźni szerzej rozwarli usta do półradosnego uśmiechu. Zawsze się tak uśmiechają, gdy Kataluca jest poruszona...

— Taka sromota ma paść na naszego księdza proboszcza? — odezwała się Agata Matićowa i spojrzała mężowi w oczy, a potem po gromadzie wiejskich gazdów w koło niego.

Odezwały się inne Agaty:

— I jeszcze od kogo?

— Wiecie choć, co to za jedna?

— Nie ma męża.

— I ona ma się mu tu narzucać... jemu, bożemu człowiekowi?

— Precz z nią! Niech idzie, skąd przyszła!

— Precz!

— Preeecz...! — W jednym długim, głuchym okrzyku wsi na kościelnym dziedzińcu zjednoczyła się Kataluca, Ivajana, Agaty i dzieci. Dzieci cieszą się widocznie, że się zebrało tyle ludzi, choć to nie niedziela i że wszyscy krzyczą, choć nie są dziećmi.

— Preeecz! — Za ponownym, zakończonym okrzykiem zaciągnął się jeszcze i pomieszany okrzyk dzieci. Uczyniły sobie z tego wołania zabawę i teraz powtarzają:

— Preeecz...

— Precz!

Vito i kapelan spojrzeli po sobie i obaj odsunęli się od okna.

— To nie dobrze — rzekł Vito.

— Jeszcze nie jest źle — rzekł kapelan.

— Jak to nie? Nie słyszy kapelan?

— Słyszę.

— Kiedy ksiądz kapelan słyszy, to przecie i rozumie.

Proboszcza zastali, jak szybko i niespokojnie chodził po bibliotece. Gdy weszli obaj niemi do pokoju, zatrzymał się na środku i wpatrzył się w nich z oczekiwaniem.

— ?

— Mnóstwo ich jest. Cała wieś. Są i dzieci — oznajmił Vito.

— Czego chcą?

— Mówiłem dziś rano księdzu proboszczowi: wieś chce, aby kobieta z dzieckiem wyniosła się z plebanii, gdyż wieś myśli, że na plebanii jest jakaś kobieta z miasta, jakaś Emilia, która bogatszym ludziom podrzuca dzieci. Wieś myśli, że ta Emilia księdza proboszcza wybrała na swoją ofiarę i że czeka, aż ksiądz proboszcz wróci z urlopu. Wieś chce wypędzić Emilię, aby was, księże proboszczu uchronić od jej szantażu.

— To wam powiedziały?

— Tak, dziś rano wiele ich to mówiło. Nie myślałem, że przyjdzie do czegoś więcej ponad te gadania.

— Więc? Co teraz?

— Jasnym jest... — rzekł kapelan z zupełnym spokojem, lecz urwał, spojrzawszy na Vita.

— Co jest jasne? — zaniepokoił się proboszcz.

— Jasnym jest to, co musi uczynić człowiek na waszym miejscu. Maja nie jest Emilią, Maja nie jest kobietą, która podrzuca.

— Wiem.

— W takim razie...

— Co w takim razie?

— Obrońcie ich...

— Chcesz Vrela! — odezwał się głos z za dymu. — Wiem.

— Hahaha... Ja chcę Vrela? Ja chcę człowieka! Chcę tylko tego, czego ty w tej chwili nie rozumiesz, ale rozumiem ja właśnie teraz lepiej i jaśniej niż kiedykolwiek. Właśnie teraz dojrzało we mnie postanowienie i dopełniło się. Ja nie chcę żadnych Vrel. Dziękuję tobie i wszystkim za wszystkie Vrela pod słońcem.

Dokończenie nastąpi

PRZERWANA SERENADA

Rys. i tekst: Pawl.

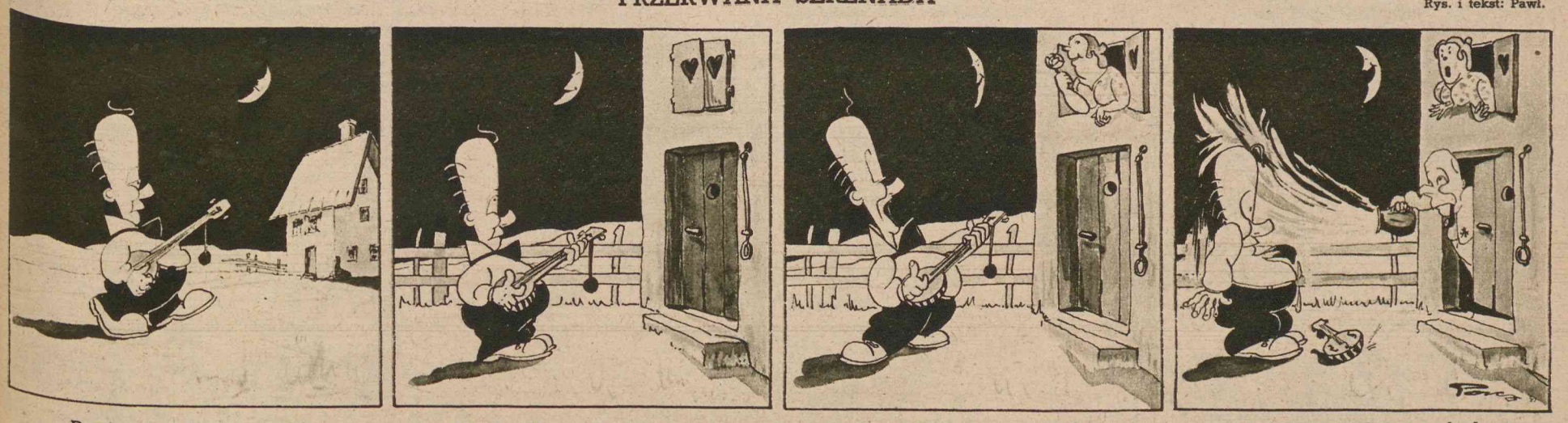

Damie serca Knotek pragnie
Serenadę zagrać ładnie

Stanął pod jej okiennice
Zagrał, w niebo wzniósł źrenice

Głos natęża, oczy mruży
Wnet otrzyma piękną różę.

Lecz miast róży dla przeszkody
Motek chlusnął kubłem wody.

Brama Krakowska, charakterystyczna dla Lublina, miasta wyścigów konnych.

Totalizator! Ogromny był natłok ludzi chcących spróbować szczęścia.

Podczas przerwy! Nie rozmawiają organizatorzy i właściciele stajen, lecz wodzowie partyj, którzy przygotowują „plan bitwy" na biegi.

Krótko po starcie. Jeszcze konie nie nabrały rozpędu. Trasa jest długa i tylko najlepsza klasa może się tu wybić.

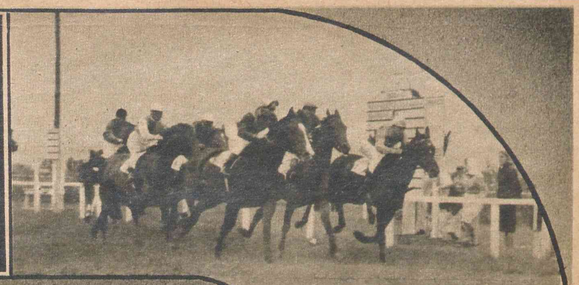

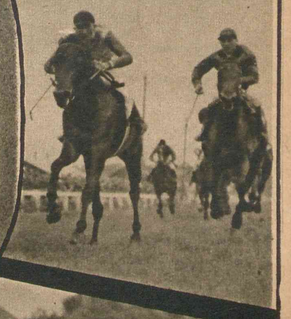

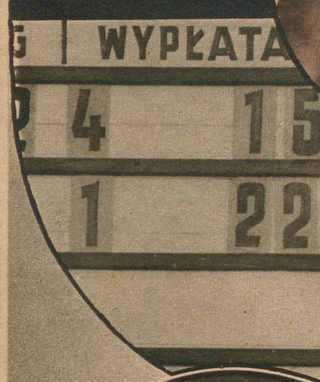

Tablica wskazuje po każdym biegu zwycięzcę i wysokość wygranej.

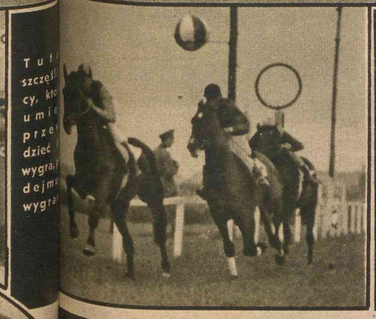

Tu szczęśliwcy, którzy umieli przewidzieć wygrany bieg i wygrali.

Na finiszu rozgrywa się ostateczna walka na ostatnich 100 metrach. Ostatecznie zwyciężył „Lublin" jednak o 2 długości.

WYŚCIGI KONNE W LUBLINIE

Oto dwóch ludzi, którzy kierują szczęściem. Na lewo, jeździec Molenda, na prawo zaś Nowak, należący już do klasy znanych dżokejów.

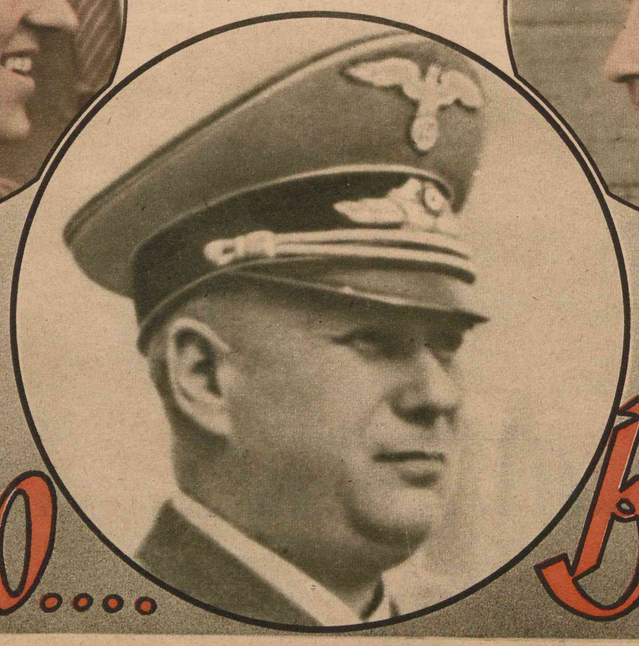

Na lewo: Gubernator Lublina Zörner, którego inicjatywa dokazała tego, że podczas wojny, mimo wielkich trudności, mogła odbyć się tak wielka impreza.

Fot. Borek — I. K.

Sport wyścigowy posiadał u nas zawsze wielu zwolenników, a wyścigi konne, których głównym ośrodkiem była Warszawa, cieszyły się wielkim powodzeniem. Dotyczy to zarówno samych hodowców i właścicieli stajen wyścigowych, jak i tysięcznych rzesz entuzjastów totalizatora, którzy próbują szczęścia przy okienkach.

Wznowienie wyścigów konnych w Lublinie w czasie wojny jest niezwykle charakterystyczne. Jest ono dowodem, że nawet w czasie wojny zagadnienia gospodarczo-hodowlane muszą być odpowiednio uwzględniane, aby utrzymać całokształt życia na poziomie. Odbywanie wyścigów konnych jest ogólnie znane i nie będziemy tutaj powtarzali znanych argumentów. Chodzi przecież o wyhodowanie z masy koni młodych rocznie najlepszej klasy, którą następnie przeznacza się do stajen hodowlanych. Fakt, iż obecnie wyścigi odbywają się w Lublinie jest łatwym do wytłumaczenia. Lublin bowiem a nie Warszawa jest obecnie ośrodkiem, gdzie hodowla koni jest powszechnie i racjonalnie uprawiana i dlatego też tam właśnie konie poddawane są pierwszemu egzaminowi.

Otwarcie wyścigów konnych w Lublinie odbyło się w bardzo uroczysty sposób w niedzielę 10 sierpnia. Władze reprezentowali: zastępca Generalnego Gubernatora sekretarz stanu dr. Bühler, gubernator okręgu lubelskiego Zörner, gubernator okręgu warszawskiego dr. Fischer oraz nowomianowany gubernator okręgu radomskiego podsekretarz stanu Kundt. Obok nich przybyło wielu przedstawicieli wojska i władz cywilnych. Przemówienie inauguracyjne wygłosił gubernator Zörner, potem rozpoczęły się gonitwy.

Już od pierwszego dnia ujawniło się wielkie zainteresowanie wyścigami zarówno wśród publiczności, jak i wśród hodowców. Miernikiem poziomu wyścigów jest fakt, że do gonitw zapisano nie mniej niż 180 koni. Najliczniejszą stawką koni, zgłoszonych do wyścigów może poszczycić się p. Antoni Budny z Bychawy — w barwach którego biega 22 koni, wśród nich wiele cennych okazów po słynnych reproduktorach zagranicznych. Poza tym biegają konie stajen pp.: Henryka Woźniakowskiego, Henryka Broszkiewicza i Bagniewskiego, Janiny „Suchowola" — ks. Z. Czetwertyńskiego, Zygmunta Broniewskiego z Garbowa, Zygmunta Skolimowskiego z Surhowa, hr. Smorawińskiego z Tarnogóry, B. J. Vettera, G. Kiwerskiego, majątku Dydnia, ordynata Alfreda hr. Potockiego z Łańcuta, von Glasenappa, Schalbota, J. Żylicza i T. Rakowskiego.

Dwuletnia przerwa w wyścigach utrudnia oczywiście orientację nawet najbardziej rutynowanym bywalcom torów wyścigowych. Ubyły konie starszych roczników, przybyły natomiast młode, wśród których znajduje się wiele okazów, rokujących poważne nadzieje na przyszłość. Znanym jest powiedzenie, że „forma bije klasę", nie ulega więc wątpliwości, że wyścigi w Lublinie będą należały do bardzo emocjonujących i, jak to już wykazały pierwsze dni zawodów, przyniosą bardzo ciekawe wyniki.

Obok fachowców, którzy z niesłabnącym zainteresowaniem śledzą przebieg wyścigów lubelskich, widzimy także liczne rzesze zwolenników totalizatora. Znając dawną namiętność mieszkańców Warszawy, uruchomiono kasy totalizatora także i w Warszawie, które z miejsca wykazały znaczne obroty, co jest najlepszym dowodem, że Warszawianie pozostali wierni swym przedwojennym przyzwyczajeniom. Mają więc teraz oni sposobność do przeżywania wielu emocyj, aczkolwiek tylko wybitni zapaleńcy wyjeżdżają do Lublina, by na własne oczy widzieć triumfy czy też porażki swych faworytów. A tymczasem na trybunach lubelskich gromadzą się wielotysięczne tłumy publiczności, rozgrzane walką szlachetnych koni pełnej krwi, galopujących po zielonej murawie.

Zast.

ZA SZYBKA UCIECZKA

Mały buhaj jest dobrym wyścigowcem, ale lasso jest szybsze, przerwie ono nagle jego szybką ucieczkę w ciągu kilku sekund i powali go na kolana.

Tempo.... Baśka

W WARSZAWIE

»Café Lucyna« Chór Juranda

Jurand ze swoim zespołem. Od lewej: Piotrowski, Chomicki, Jurand, Mroczek i Stępniewski.

Dla teatromanów warszawskich powrót z „raju sowieckiego" chóru Juranda jest prawdziwą atrakcją. I nie tylko dlatego, że sam fakt szczęśliwej ucieczki Juranda cieszy jego sympatyków. Poziom produkcji, jaki skonstatowaliśmy na powitalnym występie na estradzie jednej z najwybredniejszych co do swoich występów kawiarni Warszawy — „Café Lucyna", zadawalnia nawet najbardziej wymagające jednostki.

Zestrojenie głosów, barwa akordu, czystość intonacji, precyzyjność rytmu bez zarzutu.

Świetnym nabytkiem jest bezwzględnie Chomicki, jednoczący walory wokalne z prawdziwą siłą komiczną, „brekujący" muzykalnie a dowcipnie.

Publiczność zorientowała się szybko i pasowała sympatycznego „jurandzistę" na swego ulubieńca.

Wyrobienie zespołowe Piotrowskiego (tenora) dobrze jest znane i dostatecznie cenione, Mroczek i Stępniewski zaprezentowali się też jak najkorzystniej.

Rzecz prosta, Jurandot przy fortepianie nie tylko znakomicie akompaniuje, ale po prostu jest (i tak być powinno) duszą quartetu. Piętno własnej indywidualności artystycznej wyciska na każdej frazie, na każdym efekcie czy to dynamicznym, czy deklamacyjnym.

I dlatego „Chór Juranda" jest naprawdę „chórem Juranda", nie zaś zbiorową jednostką, nieożywioną twórczą wolą kierowniczej indywidualności. Dobór p gramu b. szczęśliwy nie za wiele sentymentalnych tang, p jemnie dowcipnych piosenek-żartów muzycznych.

I w tym właśnie kierunku pójdzie zapewne „Chór Juranda zważywszy zwłaszcza na Chomickiego, który o wiele le czuje się w finezjach i dowcipach, niż w czułostkowości wych miłosnych „żalów".

Przyjmowano sympatyczny zespół b. gorąco, czuło się „Chór Juranda" — mówiąc językiem cyganerii — „chwyc Co należy stwierdzić z zadowoleniem i oczekiwać dalsz sukcesów miłej gromadki.

Czesław Pudłowski

WIECZÓR PIOSENEK W KAWIARNI »PANI«

P. Aleksandra Serwińska śpiewa przy akompaniamencie prof. A. Lenczowskiego jedną ze swoich nastrojowych pieśni sentymentalnych.

Fot. Borek

P. Wojciech Dzieduszycki pełnymi werwy piosenkami rozwesela publiczność. Akompaniuje mu na gitarze p. J. Ławrusiewicz i prof. A. Lenczowski.

W KRAKOWIE

We środę dnia 13 sierpnia odbył się w kawiarni „Pani" wieczór piosenek, który ściągnął rzadko spotykane tłumy publiczności, spragnione muzyki i pieśni. Na naszym zdjęciu publiczność z zainteresowaniem słucha produkcyj artystów.

UWAGA! FOTOAMATORZY!

Dziś — znowu zdjęcie grupowe, ale innego rodzaju niż w numerze poprzednim. O ile w tamtym numerze wykonawczyni miała dużo tła, o tyle tutaj tłem jest właściwie tylko ściana lasu, no i oczywiście łąka, na której nasza grupka hasa. Najprawdopodobniej właśnie ta czerń lasu w połączeniu z szarością łąki wytworzyła dobre tło, w którym nic zgubić się nie może. Toteż wszystkie dzieci występują wyraźnie, widoczny jest każdy ich gest i wyraz twarzy tych, które ją mają podniesioną. Naturalnie, że to zdjęcie jest trochę ustawione, o tyle, że z pewnością dzieci widziały, że ktoś ma zamiar fotografować. Stąd ten skrępowany u niektórych dzieci gest i wyraz twarzy. Pomimo to zdjęcie jako całość tworzy obrazek miły i dobry. Dym idący z ogniska zaznacza się lekką mgiełką, dodającą zdjęciu uroku. Zdjęcie wykonał p. Janda z Rzeszowa, aparatem Velti, czas $^1/_{100}$ sek., przesł. 5,6.

Za każde zamieszczone w kąciku fotoamatorskim zdjęcie płaci redakcja 16—20 zł.

Wesołe igraszki chłopców z zakładu w Chyrowie.

— Słyszałem, że zostałeś przejechany przez samochód? Wszystko już w porządku?

— Bogu dzięki, tak. Ale następny szofer, który mnie przejedzie nie będzie miał tak łatwo.

— Dlaczego?

— Bo od czasu pierwszego wypadku noszę stale w kieszeni naboje dynamitowe.

*

— Pawle, powiedz mi prawdę, czy znalazłeś kiedy kobietę, z którą jedynie mógłbyś być szczęśliwy?

— Naturalnie, i to nie jedną!

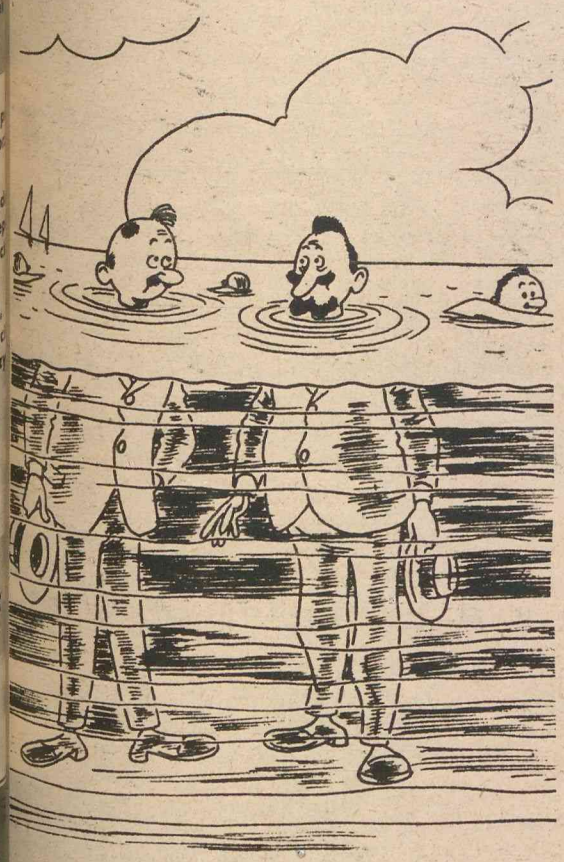

— Masz naprawdę szczęście, Józiu, lekarz przepisał ci przecież naświetlania na twój reumatyzm.

(Estampa, Hiszpania)

*

— Mamy bardzo miłą i taktowną sąsiadkę. Nie powie ona nigdy nic złego o nikim.

— Tak? Skąd pani to wie?

— Wczoraj np. mówi do pani Protek: „Jaki pani ma wspaniały kapelusz, pani Protek. Musi być w bardzo dobrym gatunku. Podziwiam go już od czterech lat".

— Panu napewno nie skradziono nigdy jeszcze ubrania na plaży?
— Wykluczone!
— U mnie też!

(Marc Aurelio)

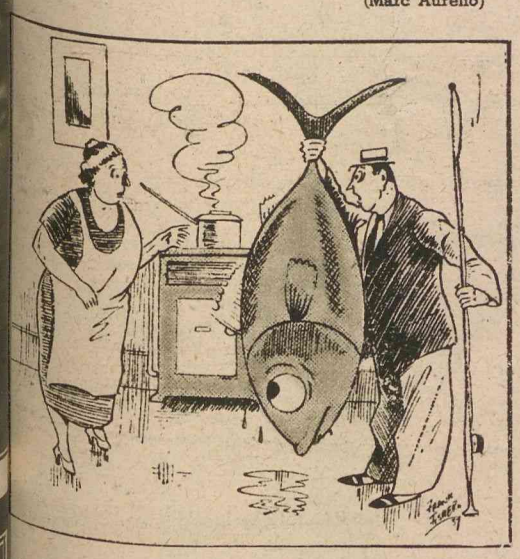

— Co? Z jedną rybą przychodzisz do domu?

(Saturday Evening Post, Ameryka)

*

— Dlaczego odpowiadasz mi właściwie zawsze tylko pytaniami?

— Czy ja to rzeczywiście robię?

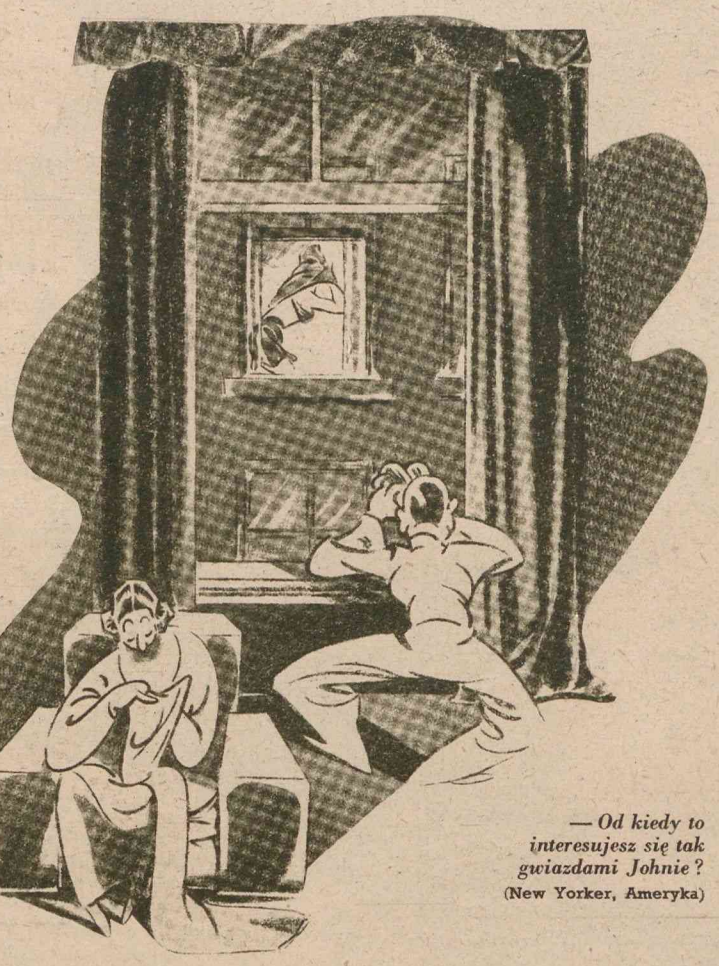

— Od kiedy to interesujesz się tak gwiazdami Johnie?

(New Yorker, Ameryka)

Janek jest bardzo posłusznym i pojętnym chłopcem, tylko bardzo zapalczywym. Matka, chcąc go odzwyczaić od prędkiego gniewu, poradziła mu liczyć zawsze do stu, gdy jest zły. Razu pewnego bawił się Janek ze swoim bratem. Nagle matka słyszy straszny krzyk. Przestraszona wchodzi do pokoju i widzi, że Janek siedzi z zaciśniętymi ustami okrakiem na swoim braciszku.

— Janek — zwraca się matka do chłopca — przecież mówiłam ci, żebyś liczył zawsze do stu, kiedy jesteś zły.

— Ja też liczę, ale trzymam Edzia, żeby mi nie uciekł, gdy skończę liczyć.

*

— Pan pozwolił sobie pocałować moją córkę. Dlaczego nie przyszedł pan najpierw do mnie?

— Nie wiedziałem, że szanowna pani życzy sobie także, żebym ją pocałował.

*

ZWIERZENIA

— No i co, jak ci się podoba twój narzeczony?

— Bardzo. Taki jest miły i skromny. Dopiero raz mnie pocałował i to też tylko dlatego, że wziął mnie za naszą Kasię, bo było ciemno.

ZABAWNA HISTORIA

— Kolego, jak widzę, nie zna kolega zupełnie historii średniowiecza! — woła oburzony profesor do swego kolegi.

— To musi być zabawna historia. Może mi kolega opowiesz — prosi roztargniony profesor.

SZACHY

KĄCIK SZACHOWY NR. 20 (23).

A. DZIAŁ ZADAŃ.

3-chodówka Nr. 20 (23).
O. Brenander („Tidskrift f. Sch." 1910).
Czarne: Kh1, Wf8, Gb6, pion: e6, f5(5).
Białe: Kb5, Ha4, Gd4, f1, Se2, g4; piony: c2, c5, d6, e3, g3 (11).
3-chodówka 11+5=6.
Mat w 3 posunięciach.

Końcówka (studium) Nr. 20 (23).
K. A. L. Kubbel (Nr. 149 zbioru).
Czarne: Kf8; piony: e5, f6, h5 (4).
Białe: Kc8, Gf7; piony: g6, h3 (4).
Końcówka (+) 4+4=8.
Białe zaczynają i wygrywają.

Rozwiązanie 3-chodówki Nr. 19 (22) (Akerblom): 1. G—g5 (grozi 2. G×f6 i 3. ×). I. 1... S jakk. 2. H—d7† i 3. ×. II. 1... c6 2. H—a5 i 3. ×. III. 1... W×g7 (W×e5) 2. G×f6† i 3. ×. IV. 1..1 W—c6 2. H×c6 i 3. ×. V. 1... W—f1† 2. K×f1 i 3. ×.

Rozwiązanie końcówki Nr. 19 (22) (Szeleźniew): 1. f4 K×f4 (A) 2. G—h6† g5 3. K—f2 e5 (B) 4. G—f8 W—d7 (C) 5. G—a3 (D) e×d4 6. b7 W×b7 (E) 7. G—d6 mat.
(A) 1... K—h4? 2. Gh6—g5 mat.
(B) 3... c2 4. Gg7—e5 lub Gg7—h6 mat.
(C) 4... e×d4 lub 4... g4 5. G—d6 lub G—h6 mat.
(D) 5. G—b4?? g4 6. G×c3 e×d4 i czarne wygrałyby.
(E) 6... W—d8 7. b8 H†.

B. DZIAŁ PARTII.

PARTIA Nr. 36. (39)

Białe: Lundin — Czarne: Alexandersson

grana w turnieju w Orebro 1938.
Gra 4 skoczków.

1.	e4	e5	15.	G×f6	g ×f6(6)
2.	S—f3	S—c6	16.	H—b4	H—b6
3.	S—c3	S—f6	17.	a4	Wa—d8
4.	G—b5	G—b4	18.	H—g4†	K—h8
5.	0—0	0—0	19.	H—h4	a5(7)
6.	d3	d6	20.	H×f6†	K—g8
7.	G—g5	G—g4	21.	d4!	H—c6
8.	S—d5	S—d4	22.	W—a3	G—e4
9.	S×b4	S×b5(1)	23.	h4!	d5
10.	S—d5	S—d4	24.	W—g3†	G—g6
11.	H—d2	c6(2)	25.	H—g5	H×c2
12.	S×d4(3)	c×d5(4)	26.	h5	H×a4(8)
13.	S—b5	G—e6(5)	27.	H—f6!	Czarne
14.	e×d5	G×d5			poddały się. (9)

UWAGI:

(1) Krause polecał na łamach „Deut. Schachztg." 1918 str. 121: 9... H—c8! 10. c3! G×f3 11. g×f3 S×b5 12. G×f6 g×f6 13. a4 c5 14. S—d5 K—h8 15. K—h1 S—c7 jako drogę do remis.

(2) Czarne nie mogą zachować symetrii przez: 11... G×f3 12. G×f6 H—d7 z powodu: 13. S—e7† K—h8 14. G×g7† K×g7 15. H—g5† K—h8 16. H—f6 mat.

Z tego samego powodu niemożliwym jest 11... H—d7.

Wreszcie błędnym byłoby: 11... S×f3† 12. g×f3 G—h5 13. G×f6 g×f6 14. H—h6 G—g6 15. h4 poczym h5, a 11... S×f3† 12. g×f3 G×f3 13. h3! n.p.: 13. h3 c6 14. S×f6† g×f6 15. G—h4 K—h8 16. K—h2 W—g8 17. W—g1 W—g6 18. H—e3 G—h5 19. f4 i t. d.

Stosunkowo najlepszym jest według Krausego 11... S×f3† 12. g×f3 G×f3 13. h3 ofiara figury: S×e4 14. d×e4 f6 poczym G×e4, przyczym jednak 3 piony nie stanowią ekwiwalentu za ofiarowaną figurę, jak „Deut. Schachztg." 1913 str. 317 i Bilguer.

(3) To wydaje się jaśniejszym, niż: 12. S×f6 g×f6 13. G—h4 G×f3 14. H—h6, gdyż czarne ratują się przez S—e2 15. K—h1 G×g2 16. K×g2 S—f4 poczem S—g6 przed bezpośrednią zgubą.

(4) 12... e×d4 byłoby zgubnym z powodu: 13. S×f6 g×f6 14. G—h6 W—e8 15. H—f4 G—h5 16. H—g3 G—g6 17. f4.

(5) Trudny był wybór między dwoma złymi alternatywami. Może: 13... d×e4 14. G×f6 H×f6 15. d×e4 a6 16. S—c7 było nieco lepszym? W każdym razie białe nie mogły grać 16. S×d6? z powodu: Wf—d8!

(6) Teraz Hetman nie może odbić, gdyż czarne po 16. S—c7 straciłyby jakość.

(7) Akt determinacji. Jeśli 19... W—g8 to 20. H×f6† W—g7 21. a5! Jeśli zaś 19... K—g7 to 20. W—e1 poczym W—e3 lub 20. d4 a następnie W—a3.

(8) Aby po 27. h×g6 f×g6 28. S—c3 H×d4 zdobyć trzeciego piona za figurę.

(9) Gdyż grozi 28. h6 poczym H—g7 mat.

PARTIA Nr. 37. (40)

Białe: De Groot — Czarne: Frydman

grana na Olimpiadzie w B. Aires 1939.
Obrona sycylijska.

1.	e4	c5	9.	c×d5	e×d5
2.	S—f3	e6	10.	S×c6(2)	b×c6
3.	c4	S—c6	11.	e×d5(3)	W—e8†
4.	S—c3	S—f6	12.	G—e3(4)	S×d5
5.	d4	c×d4	13.	0—00(5)	G×c3
6.	S×d4	G—b4	14.	b×c3	H—a5
7.	H—d3	0—0	15.	G—d4	Wa—f8
8.	G—d2?(1)	d5!	16.	Białe poddały się (6).	

UWAGI:

(1) Białe niedoceniły możliwości oswobadzającego ruchu czarnych d5. Lepiej było grać 8. S×c6. Teraz uzyskują czarne świetną grę — głównie dzięki temu, że białe nie zdołały zabezpieczyć swego K.

(2) Lepiej 10. e×d5. Białe otwierają przeciwnikowi linię b, co się okaże w następstwach katastrofalnym.

(3) 11. e5 S—d7 12. f4 f6!

(4) 12. G—e2 a5! (grozi G—a6).

(5) Białe łudzą się nadzieją bezpieczeństwa, lecz mają zanadto otwartą pozycję, tak, że rozstrzygnięcie zapada w kilku posunięciach.

(6) Po 16. W—d2 rozstrzyga G—f5! n.p.: 17. H×f5 W—e1 18. W—d1 W×d1† 19. K×d1 S×c3† poczym H×f5.

Kaprysy życia

W filmie tym, bogata panna, Gabriela Brodersen, nudząc się w swoim otoczeniu, zamienia się na role ze swoją pokojową. Obie używają po swojemu w nowej postaci. Pokojówce smakuje życie bogatej panny, chciałaby też jak najdłużej udawać Gabrielę. Tymczasem prawdziwa Gabriela również poznaje życie ze wszystkich stron. Zakończenie filmu jest zupełnie nieoczekiwane. Rolę Gabrieli gra ładna artystka Marianne Hoppe, główną rolę męską — Gustaw Fröhlich. Film warto zobaczyć.

Gustaw Fröhlich

Marianne Hoppe

Harald Paulsen

Ilustrowany Kurjer Polski — Krakau, Redakcja: ul. Piłsudskiego 19 tel. 213-03 — Wydawnictwo: Wielopole 1 tel. 135-60 — Pocztowe Konto Czekowe: Warschau Nr 900